

To jest historia o rzeczach. I jeszcze o gadaniu. Czyli – o słowach i przedmiotach. Jest to także książka o mojej matce, i z tego powodu nie będzie zbyt wesoła.

Kiedyś sądziłem, że ludzi pamiętamy, dopóki możemy ich opisać. Teraz myślę, że jest odwrotnie: są z nami, dopóki nie umiemy tego zrobić.

Dopiero martwych ludzi mamy na własność, zredukowanych do jakiegoś obrazka czy kilku zdań. Postaci w tle. Teraz już wiadomo – byli tacy albo śmacy. Teraz możemy podsumować całą tę szarpaninę. Rozplątać niekonsekwencje. Postawić kropkę. Wpisać wynik.

Ale jeszcze nie wszystko pamiętam. Dopóki nie mogę ich opisać, jeszcze trochę żyją.

Czterdzieści lat temu – nie rozumiem, dlaczego akurat ta rozmowa nagrała się w mojej pamięci – narzekałem na jakąś audycję edukacyjną w Polskim Radiu, a moja matka powiedziała: „Nie wszystko w życiu da się zamienić na śmieszne historyjki”. Wiedziałem, że to prawda. Mimo to próbowałem.

W książce o designie wspomniałem, że w naszych egzemplarzach miesięcznika „Ty i Ja” brakowało stron z przepisami kulinarnymi. Tym razem napiszę, jak je odnalazłem.

Część 1
Kuchnia mojej matki

Masa spadkowa

Nie mówiła o śmierci. Tylko raz. Nieokreślony ruch ręką, machnięcie w stronę półek:

– Co z tym wszystkim zrobisz?

„To wszystko” oznaczało jeden z tych systemów, które kupuje się w Ikei. Metalowe szyny, wsporniki, deski, papier, kurz, rysunki dzieci poprzyczepiane pinezkami. A także pocztówki, pamiątki, pomarszczone ludziki z kasztanów, zeszlóroczne bukiety z liści. Musiałem jakoś zareagować.

– Pamiętasz Mariuszka z naszej szkoły?

– Bardzo miły – odparła, ponieważ pamiętała, że go nie lubiłem.

– Parę lat temu byliśmy z Martą u jego teściowej, mieliśmy coś zawieźć albo przywieźć, coś dziecinnego, kojec czy coś.

– Ile ma dzieci?

– Nie wiem, ale teściowa nie mogła się go nachwalić. Mówiła, że kiedy zaczął jej przeciekać dach, to Mariuszek sfinansował nowy z dachówki bitumicz-

nej, bardzo drogi, i powiedział: „O pieniądze niech się mamusia nie martwi, wszystko zostaje w masie spadkowej”.

– I co u niego słycać?

– Nie wiem, pracuje w kancelarii. Nie martw się o masę spadkową. Jeszcze jest czas.

Ale czasu nie było.

Moja matka uwielbiała zakupy. W najszcześniejszych latach swego życia codziennie po południu wyruszała do sklepów. „Chodźmy na miasto” – rzucała.

Kupowali z ojcem niepotrzebne drobne przedmioty. Imbryczki. Scyzoryki. Lampy. Automatyczne ołówki. Latarki. Nadmuchiwane podgłówki, pojemne kosmetyczki i różne pomyslowe gadzety, które mogą się przydać w podróży. Było to dziwne, ponieważ nigdzie się nie wybierali.

Potrafili wędrować przez pół miasta w poszukiwaniu ulubionego gatunku herbaty lub nowej powieści Martina Amisa.

Mieli ulubione księgarnie. Ulubione sklepy z zabawkami. Ulubione punkty napraw. Zawierali przyjaźnie z różnymi – zawsze bardzo, bardzo miłymi – ludźmi. Panią z antykwariatu. Panem od scyzoryków. Panem od jesiotra. Małżeństwem od lapsang souchong.

Każdemu nabytkowi towarzyszył rytuał. Zauważyli jakiś nadzwyczajny egzemplarz – w sklepie z używanymi lampami, gdzie urzędował Pan od lamp, bardzo sympatyczny obywatel – żeby użyć dziarskiego określenia mojego ojca.

Oglądali. Pytali o cenę. Dochodzili do wniosku, że ich nie stać. Wracali do domu. Cierpieli. Wzdychali. Kręcili głowami. Obiecywali sobie, że kiedy będą przy pieniądzach, co powinno nastąpić już wkrótce, to wtedy muszą koniecznie...

Przez kolejne dni rozmawiali o tej niedostępnej lampie. Zastanawiali się, gdzie ją ustawić. Upominali się wzajemnie, że jest zbyt droga. Lampa żyła z nimi. Stała się częścią gospodarstwa.

Ojciec opowiadał o jej nadzwyczajnych cechach. Szkicował na serwetce, jak wyglądała (miał świetną pamięć wzrokową), wskazując na oryginalność pewnych rozwiązań. Podkreślał, że kabel ma tekstylną izolację, prawie nie przetartą. Zachwalał bakelitowy włącznik (już widziałem, jak będzie go rozkręcał jednym ze swoich śrubokrętów).

Czasami jeździli ją odwiedzić. Popatrzeć. Podejrzewam, że nigdy nie wpadli na to, żeby przy okazji negocjować cenę. W końcu kupowali.

Byli idealnymi klientami. Dobrodusznymi. Uprzejmie zainteresowani nowym asortymentem. Potem ojciec dostał zawału w jakimś centrum handlowym po wypróbowaniu zielonego frugo. Zdążyliśmy jeszcze pożartować na ten temat. Nawet lekarz z pogotowia uznał, że to zabawne.

Został cienki strumyk. Pilot od telewizora. Pudełko z lekami. Miska do wymiotowania.

Rzeczy, których nikt nie dotyka, stają się matowe. Blakną. Meandry rzeki, trzęsawiska, muł.

Szuflady wypełnione ładówkami od starych telefonów, zepsutymi piórami, wizytówkami sklepów. Stare gazety. Zepsuty termometr. Wyciskacz do czosnku, tarka i to, jak to się nazywa, śmialiśmy się z tego słowa, tyle razy się powtarzało w przepisach, mątewka. Mątewka.

I przedmioty już wiedziały. Czują, że wkrótce będą przesuwane. Przekładane w niewłaściwe miejsca. Dotykane cudzymi rękami. Będą się kurzyć. Będą się rozbić. Pękać. Łamać pod obcym dotykiem.

Wkrótce nikt już nie będzie pamiętał, co zostało kupione w ośrodku węgierskim. Co w desie. Co w cepe-
lii. Co w antykwariacie, w czasach prosperity. Potem przez kilka lat przychodziły życzenia firmowe w trzech językach, zawsze ze zdjęciem jakiegoś platerowanego drobiazgu. Potem przestały. Może właściciel stracił nadzieję na dalsze zakupy. Może zamknął interes.

Nikt już nie będzie pamiętał. Nikt nie powie, że trzeba skleić tę filiżankę. Wymienić kabel (gdzie taki znaleźć?). Tarki, miksery i sitka zamienią się w śmieci. Zostaną w masie spadkowej.

Ale przedmioty szykowały się do walki. Zamierzały stawić opór. Moja matka szykowała się do walki.

– Co z tym wszystkim zrobisz?

Wiele osób stawia to pytanie. Nie znikniemy bez śladu. A nawet jak znikniemy, to zostaną nasze rzeczy, zakurzone barykady.